Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 19.** Leszno, dnia 10. Listopada 1838.



Abdel Kader. *)

Abdel Kader urodził się przy końcu roku 1808 w okolicach Mascary w ziemi Hachem: wychowanie odebrał w tak nazwaném guetna, czyli w duchownem seminarium, w którém Marabuty, przodkowie jego, zgromadzali młodzież, dla nauki teologii i prawa. Ojciec jego zwał się Si-Mahhi-el-Din, i lubo pochodził z bardzo starożytnéj familii Kalifów, był jednak ubogim derwiszem, żyjąc z jałmużny wiernych. W tym stanie jednak bardzo był poważany w swém pokoleniu, a lud zabobonny przyznawał mu nawet moc nadludzką robienia cudów. Tym sposobem zebrał znaczny majątek i utorował sobie drogę do najwyższéj władzy. Po śmierci Muleja, Si-Mahhi-el-Din został obrany bejem Mascary; lecz wkrótce po objęciu téj władzy, otruty. Syn jego drugi, Abdel Kader, obdarzony świetnemi natury darami i rzadką wymową, która w tamtych krajach bardzo popłaca, zaledwo powrócił z pielgrzymki do grobu proroka, kończąc dopiero rok dwudziesty pierwszy, z łatwością rządy po ojcu odzierżył. Młody bej niezaniedbał żadnéj okoliczności, aby umocnić swe rządy, przez uprzątnienie zazdrosnych i wewnętrzną kraju administracyą. Przytomność Francuzów w Algierze, zamiast osłabić jego potęgę, posłużyła jeszcze ku jéj powiększeniu; albowiem obawa wspólnego nieprzyjaciela połączyła zwaśnione między sobą pokolenia, po-

*) Rycina wyjęta z dzieła franc.: *„Biographie des hommes illustres. Tom. III. Paris* 1837.*

dwoiła ich gorliwość i ułatwiła Kaderowi wojenne zamiary. Z powiększającą się liczbą stronników, rosła duma młodego wojownika, tak dalece, że w r. 1833 napisał do generała Desmichels, dowodzącego w Algierze: *„Pozdrowienie wiernym! Wiedzcie Giaury, że wojska nasze otoczyły miasto, i że wszystko gotowe do szturmu. Jeżeli chcecie ocaleć, opuśćcie kraj niesłusznie nam wydarty; gdyż wiedzcie, że nie ustąpię prędzéj, aż was wypędzę. Pan Bóg sprzyjać będzie dobréj sprawie. Nie spuszczaj się na doradzców, bo ci będą twą zgubą.“* Nazajutrz podpułkownik Dubarrail wyszedł z małym oddziałem wojska za miasto, i stawił czoło zuchwałemu Kaderowi na czele dwudziestu dwóch pokoleń; 1100 ludzi walczyło tutaj przeciwko 20000 jazdy arabskiéj; a jednak odparli tak straszną siłę, za pomocą taktyki i mocnéj artyleryi. Ta porażka nie zraziła wcale Kadera, i wiadomo, że musiano daleko większéj użyć siły, aby zdobyć Mascarę i Tlemsen, i odeprzeć zuchwałego zdobywcę, i że wtedy nawet jeszcze strasznym był dla Francuzów, aż pokój zaszczytny, zawarty w Tafna, który dotychczas zachowuje, jego oręż odwrócił od brzegów afrykańskich.

Abdel Kader ma 29 lat, średniego wzrostu, wyraz twarzy łagodny, oczy piękne, broda czarna, ale rzadka; głowę ma trochę nachyloną ku lewéj łopatce: okazuje powierzchownie szlachetność, i rzadko gniewem się unosi. Obyczaje jego czyste: ma tylko jednę żonę, którą czule kocha. Życie jego bardzo proste; w niczem się prawie nie różni od swych poddanych; nie masz ani straży około niego, ani żadnego przepychu. Ubiór jego zwyczajny, arabski, niczem się nie różniący od innych. Tylko w broni i w koniach zbytkuje. Wszelki czas, który mu zbywa od rządów, poświęca czytaniu, i ma dość piękną bibliotekę: jest religijny, ale daleki od fanatyzmu.

Pińsk i Pińszczyzna.

(*Dokończenie.*)

Piński powiat dzieli się swojém położeniem na *Zarzecze* i *Zahorodzie*, między któremi w środku miasto jego stołeczne, siedzi poważnie z brodą, na warku soli, z trzosem rubli. *Zarzecze*, najpuściejsza i najniedostępniejsza część powiatu, jest tém samém najciekawsza. Przerzyna ją mnóstwo rzek, rzeczułek i strumieni, błót, zarośli, czerotów; naliczysz tam, Styr, Pinę, Prypeć, Stubło, Słucz, Stochód, Strumień, i wiele innych. Przez półroku osychając, ta strona utrudnione ma komunikacye i pustynią się prawie staje; lecz czas, ten wielki twórca cudów, już i tu wprowadził fabryki cukru, fortepiany petersburskie i magazyny malownicze. Co za kraj, gdyby się na nim znali jego mieszkańcy! co za usposobienia handlowe, dane mu od natury! jaka łatwość transportu i spieniężenia produktów, czego tak innym stronom brakuje! Tu lepiéj niż żelazne koleje, bo wody nieocenione mają Zarzeczanie! wody, które tylko zjednoczyć, zlać i poprowadzić potrzeba. Chcąc go w głębi widzieć, z Pińska płynąłem wodą daléj. Niewiem kogo mam prosić o pożyczenie mi pióra na opisanie téj pustyni czerotów i łozy, jaką przebywałem. Proszę sobie wystawić niby las z plecionéj trzciny, związanéj i pomięszanéj, jak włosy w pińskim kołtunie, las bez granic i końca, przecięty gdzie niegdzie korytem rzeki, które wąziuchno, jakby za wielkiém przeproszeniem, przepływa zastępy czerotu. W tych czerotach, że to była jesień, ani komara, ani muchy, ani żywéj duszy, ani innego dźwięku, nad szelest poschłych łodyg i liści. W lecie snują się tu ćmy, tłumy wojska komarów nad błotami i rzekami; ale o téj porze, w któréj przebywałem Pińszczyznę, byłbym zapłacił za stworzenie, któremuby się można przypatrzeć, któreby brzękiem lub postacią, jednostajność okropną pustyni rozjaśniło. W niedostatku innych przedmiotów, musiałem analizować ubiór i twarze wioslarzy, budowę czołna, nawet pochylenie listków na trzcinie i warkocze poschłe czerotu i spadłe w wodę gałązki i chmury na niebie.

Nareszcie okazała mi się karczemka! i wcale niepospolita, opasana do koła łozą, czerotem, krzakami, które się tu już rozpoczynają i zowią się lasem. Karczemka mała, schylona, nogami w wodzie stojąca: do któréj drzwi od wody kilka schódków prowadzi; nad rzeką, jak gdzieindziéj nad drogą postawiona; a w niéj staruszek siwy, garbaty! cudny staruszek; gdyby tam do niego była jeszcze stara baba, jak w bajce dziecinnéj, byliby mnie do rysowania zmusili.

Przez zakręty, z rzeczki w rzeczkę płynąc, takim samym krajem 7 mil przebyłem! i prócz kilku karczem i spotkanych obijaników, nic żywego i nowego nie widziałem. Ten kraj wodnisty ma mnóstwo rodzajów czołen do jazdy i transportów; grzechem byłoby ich nie poznać, bo one i wody, należą koniecznie do składu całego obrazu. Najmniejsza łódź jest *pławiczka*, na któréj jeden człowiek stojąc się powozi; większa trochę jest *pławicą*. Najpowszechniéj używany do mniejszych przewózek i podróży jest *obijanik*, zwany *szuhaleją*, lub po prostu czołnem. Robi się on z jednego rozparzonego dębu z obojnikami sosnowemi, unosi od 100 do 300 pudów ciężaru. Wielkie obijaniki, zwane dębami czarnobylskiemi, niosą do 400 pudów. Gdy takim obijanikiem jedzie do Pińska pan obywatel, natenczas dla ochrony od deszczu i wilgoci, kładną *pokłat* czyli budkę na kilku zgiętych kijach, okrytą płótnem, skórą i rohożą, plecioną z sitniku. Ta trawa, gdy jest młodą,

służy wieśniakom za rodzaj posiłku; wyssysają z niéj słodycz, któréj dostarcza wypustka młodego. Czerot, którego tu tak wiele, lepiéj od słomy dachy pokrywa i wyborny daje opał.

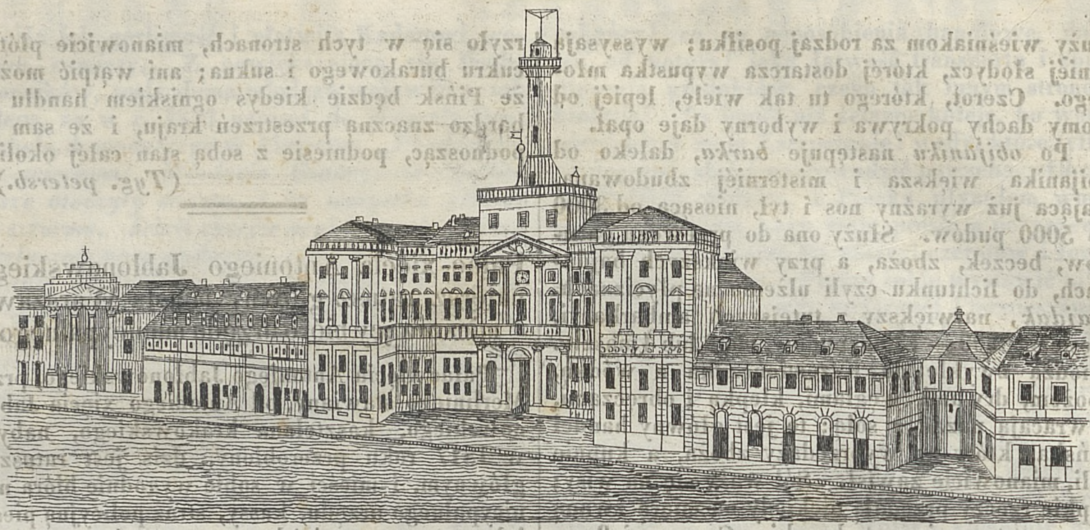
Po *obijaniku* następuje *barka*, daleko od obijanika większa i misterniéj zbudowana, mająca już wyraźny nos i tył, niosąca od 3000 do 5000 pudów. Służy ona do przewozu garnków, beczek, zboża, a przy większych bajdakach, do lichtunku czyli ulżenia na płyciznach. *Bajdak*, największy z tutejszych ambarkacyi, niesie od 9000—13000 pudów, ma 3 lub 4 maszty. Chodzą zwykle do Krzemieńczuka z wódką, zbożem, drwami, węglami, klepką i obręczami, a wracają nazad z solą; to jest główny handel Pińska, który na wyprzedaży zboża, a kupnie soli, mianowicie zawisł. Sól waży się na wisy; sypkie rzeczy przedają niekiedy na miarę zwaną *czaszą*, stanowiącą $\frac{1}{12}$ beczki. Garnca aż 3 rodzaje używają; naturalnie, większym żydzi kupują, mniejszym przedają. —Jak jest właściwy téj stronie handel i przemysł, tak i poezyą ma swoją; mało ją może kto pozna, ale ja widziałem wszędzie w tych łozach i chróstach, w śpiewie Kwilei i Łozniuchy, w brzęku komarów, w zalanych jak morze błotach, na których wsie, jak wyspy stoją. Kiedym nazad wracając nocą, przez wody rozlane, dopływał do wałów starego zamczyska, i patrzył na mury Jezuitów, na maszty bajdaków, na uwijające się cicho pławice, uczułem całą poezyą tego miejsca. Cóż dopiero, gdy się targ wśród wody otworzył na łodziach! Był to widok nowy i zajmujący dla nas mieszkańców stałego lądu, którzy wody widujem tylko w karafkach na stole; to przypominało morze i dalekie kraje. Alem chciał jeszcze też same strony wśród zimy i zamieci oglądać! Było także co widzieć!

Ogromne te błota, cały ten kraj, pokryty białym śniegiem, nad nim śniegi zawieszone w powietrzu, w około fale śnieżyste; człowiek jadący lub idący w ówczas, według tamtejszego wyrażenia, znajduje się wśród tak jednostajnéj białości, jak w jajku. Jest coś dziwnego w położeniu i uczuciach podróżnego, który do koła siebie, nad sobą, przed sobą, nic, prócz téj białości, nie widzi, żadnéj skazówki w drodze, ani drogi nawet, konie idą instynktem. Czasem tylko jeden z tysiąca stogów, stojących na błotach, pokaże się i zniknie. Tu jak w lecie płyną, tak zimą jadą po rzekach; one najlepiéj trakt wskazują; można się wprawdzie załamać i utonąć, ale to niezawsze. Często, długie szeregi furmanek, mimo odwilży, ciągną się przez lody wodą już pokryte, czasem się topią, ale dlatego jadą. Kiedy tylko jaki rodzaj transportu jest podobny do uskutecznienia w dni targowe, całe te błota pełne są sań lub obijaników; widać, że miasto wiele potrzebuje. Przemysł, do którego natura sama tyle zrobiła pomocy, powoli się rozwija; kilka fabryk otworzyło się w tych stronach, mianowicie płótna, cukru burakowego i sukna; ani wątpić można, że Pińsk będzie kiedyś ogniskiem handlu na bardzo znaczną przestrzeń kraju, i że sam się podnosząc, podniesie z sobą stan całéj okolicy.

(*Tyg. petersb.*)

Pałac xięcia Antoniego Jabłonowskiego, nateraz ratusz główny miasta Warszawy, mieszczący bióro urzędu municypalnego.

Pałac xięcia Antoniego Jabłonowskiego, przez Merliniego stawiany, od Antoniego xięcia Jabłonowskiego, kasztelana krakowskiego, nabyty, w 1817 roku przerobiony, dziś jest ratuszem głównym, i mieści w sobie wygodnie bióra municypalnego urzędu, kassy, straż policyjną pieszą i konną, wagę miejską, magazyn karowy i porządki do gaszenia ognia. — Ratusz piękne ma sale; w nich portrety, Janusza i Stanisława, ostatnich xiążąt mazowieckich, i siostry ich, Anny, współczesnéj ręki; Stanisława Augusta przez Wernera w 1764 roku; Alexandra I., króla polskiego i cesarza, kopia z Gerarda, przez Blanka, professora uniwersytetu warszawskiego zrobiona, i wjazd tegoż monarchy do Warszawy w dniu 15. Listopada 1815 roku, przez Varenna. Są tu jeszcze portrety marszałków wielkich koronnych: Franciszka Bielińskiego, Stanisława xięcia Lubomirskiego, Michała Wandelina Mniszcha, i tych osób, które w dawnych czasach dobrodziejstwa jakie świadczyły, życzliwość swą okazały, lub prawa miejskie przyjęły, jakoto: Adama xięcia Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich, trzech Małachowskich, Stanisława marszałka, Hyacynta kanclerza, Antoniego wojewody mazowieckiego, Kazimierza xięcia Sapiehy, Kołłątaja, Ignacego i Stanisława Potockich, Józefa xięcia Poniatowskiego, Kublickiego posła inflanckiego, Macieja i Walentego Sobolewskich, Jabłonowskiego, właściciela tego pałacu; niegdyś i prezydentów miasta: Jana Deckerta, Ignacego Wyssogoty Zakrzewskiego, i Karóla Woydy; są one powiększéj części malowane przez Granego lub Józefa Peszkę, teraźniejszego professora uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Zasługują tu jeszcze na widzenie: dzwonek bronzowy z wyrabianiem trafnem i napisem: *Stanislaus Baryczka*, proconsul 1628 roku, z herbem jego i miasta Warszawy, krucyfix hebanowy, u podstawy którego na blasze złocistéj wzmianka Wilhelma Cramera i Franciszka Witoffa, urzędników miejskich, i Stefana Rydzyńskiego, sekretarza, w 1711 r.; w składach orzeł kamienny z dawnego ratusza nieco uszkodzony, kamień nad wieżą marszałkowską przez Stanisława Lobomirskiego umieszczony 1761, nad izbą sądową w 1706 r. i nad skarbcem w 1642, do którego są i okiennice żelazne; krzyż srebrny za podskarbstwa



Ratusz główny miasta Warszawy.

Szl. P. Mateusza Łapińskiego R. Y. P. M. N. W. sprawiony, *Anno* 1770 *die* 28. *Novembris;* herb panna i jednorożec wspięty; puhar srebrny z temi słowy: *cura ac industria Nob. ac Spect. Jos. Bened. Loupia proconsulis antiquae Varsav. Anno* 1726; sześć puharów cynowych, z których spijali ławnicy; drewniane wzory chleba z r. 1554 z napisem ceny: *duo obuli, unus obulus;* zbiór fałszywych pieniędzy za siedmioletniéj wojny; srebrny kurek do strzelania z rokiem 1552, jaki zapewne w nagrodę ofiarowano temu, który największą zręczność okazał i królem kurkowym został; kawałek czaszki, ucięty przez Władysława królewicza Piekarskiemu złoczyńcy, który pomieszanie zmysłów mając, Zygmunta III. w 1620 roku dnia 15. Listopada uderzył czekanem, i klucze srebrne z nowego miasta, 1764 roku z literami C. N. V. i złocone, dla ofiarowania ich ś. p. Alexandrowi I., zrobione.

Listy z narodowéj pielgrzymki.

List trzeci.

Niedaremnie wspomniałem w ostatnim liście moim o piękności podań naszego ludu. Przypadek sam pozwala mi dzisiaj poprzeć twierdzenie to dowodem. Na noclegu postrzegłem klechdy Wojcickiego; biorę xiążkę do ręki, otwiera się sama właśnie na *oczy urocze;* *) snać, że je często czytywano, bo też zaiste godne są kilkokrotnego czytania! Jakaż to tam prostota, jakie delikatne cieniowanie uczuć niewieścich, miękkich, łagodnych, a jakie śmiałe zarysy charakteru męża z silną duszą i wolą; jakie bogactwo wewnętrznéj treści, a jaka skromność zewnętrznéj sukienki (formy). W tém właśnie poznaję mistrzowskie pióro Wojcickiego. Uczuł on, widać, głęboko tę prawdę, że szkielet jedynie potrzebuje zmysłowego wcielenia szerokiéj sukni, któraby nagość jego okryła; pod nią, jak zły człowiek, pod płaszczykiem cnoty, łudzi nas chwilowo pięknością udaną, bo prawdziwa piękność obejdzie się, jak prawdziwa cnota, bez błyskotek i kwiatów.

Równie jak Mickiewicz w kilku wierszach *Upickiego popasu,* odmalował on na kilku stronnicach swoich *oczu uroczych,* rozmaite charaktery osób wyprowadzonych na scenę, odział najwłaściwszą barwą wszystkie przedmioty powieści, którą w samym związku już spowodował. Widzimy tam dom murowany nad Wisłą, ale dla czegoż to nie widzimy w nim żadnego okna strony dziedzińca? Tam są gumna i dobytki wszelkie, a nie strzeże ich oko pańskie! Dla czegoż to flisy, mijając dwór z daleka, odwracają twarze od niego? Dla czego alea lipowa zarosła trawą i chwastem? Pan dworu już od lat siedmiu tu mieszka, a czemuż mało komu znany, żyje samotnie, odludnie, z jednym tylko starym domownikiem? Oto pan jest *uroczy;* ma *złe* oczy, które chorobę i śmierć ludziom zadawają! Jeśli *we złą godzinę* spojrzy na bydlę, zdechnie zaraz; jeżeli co pochwali, niszczeje zaraz! Jest tedy plagą ludzkości z woli przeznaczenia, ale jest zarazem wyższym nad to przeznaczenie, które go prześladuje; bo się dla dobra ludzkości poświęca, zamyka się dobrowolnie przed światem, pędzi samotne godziny jak pustelnik, lub zbrodniarz; a jeśli czasem zapłacze, to w cichości serca, w głębi téj duszy, która się zdała na

*) Druga powieść z porządku, w pierwszym tomie Klechd.

wola Boża; łzy jego niewidziane sączą i osy-
chają; cierpienia jego nie budzą w nikim po-
litowania; poświęcenie jego nie budzi wdzięcz-
ności; ludzie stronią od niego i odpłacają mu
wzgardą; za dobre złem płacą; ale błog[illegible]
[illegible] który cierpiąc, bo ci posiędą [illegible]
niebieskie!

Po dziesięciu latach takiego życia, nastała wreszcie sroga zima; wilcy stadami biegali i wyli gromadnie około białego dworu. Uroczyście siedział smętny przy kominku przewracał karty jakiejś księgi. Starzec naprawiał sie[illegible] na[illegible]. W tem usłyszano na dziedzińcu [illegible] wzywający ratunku. Zadrżał pan domu, bo już odwykł od głosu obcego, pobiegł jednak ze Stanisławem na pomoc. Przed sienią stały sanie kryte; przerażała je w tę miejsce gromada wilków, na których widok przestraszona w saniach kobieta zemdlała! Trzeźwią ją mąż sędziwy i młoda a piękna córa. Wprowadzono przeleknionych do izby, przyrzucono drewek na komin, pan domu przyniósł starego węgrzyna, radosny i wesoły.

Stary Stanisław z pociechą poglądał na twarz pana, która zawsze zasępiona, teraz się rozjaśniła; byłby może i [illegible] sługa zapomniał na ten widok o nieszczęśliwem przeznaczeniu jego, gdyby się nie [illegible] zrozumiał, gdyby nie te okropne oczy, dzikie, ponure, co się w [illegible] spokojnie chcą [illegible] czołem [illegible]arza! [illegible] w tej chwili, kiedy mąż swo[illegible] [illegible] z [illegible] tam dalekiej nadziei, [illegible] wet [illegible] pierwszy [illegible] ujrzał dwa oczy straszliwe. Widzi to stary Stanisław, i dla tego ręce załamał i z uśmiechem poglądał na pana swojego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Obiady czwartkowe.

(Koniec.)

W ciągu takiego dyskursu obejrzałem się [illegible] po stole i spostrzegłem przed biskupem [illegible] kielich srebrny, a [illegible] zastawy stołu, a który dopiero dowiedziałem się, co miał znaczyć. Na przeszłym obiedzie czwartkowym mówiono o staropolskich pijatykach i z kolei od biskupa Gam[illegible] wszyscy, przytaczał Naruszewicz wiele [illegible] Albertrandim wszystkich, [illegible] w Polsce sławnie jadali i pili, a król [illegible] polecił panu marszałkowi, żeby do zastawy [illegible] na przyszły czwartek dobył ze skarbca [illegible] kielich z czasów króla Jana; co Naruszewicz przyrzekł królowi, że się opatrzy człowiekiem, który go na cześć królewską wypełni za naszych czasów. Ów to więc kielich stał dnia wczorajszego przed biskupem i sterczał wyżej głowy biskupiej. Z ościennego pokoju wnoszono potrawy; przez rozwarte drzwi, ujrzałem tam Bernardyna, którego dotąd nikt nie spostrzegł z osób siedzących u stołu. Nie mogłem pojąć co on [illegible] na pokojach królewskich robił, lecz wkrótce rzecz mi się wyjaśniła: ujrzał go albowiem i biskup i pokazał mu nieznacznie kielich przed sobą stojący, wznosząc go nieco do góry. „Nic," strzepnął się Bernardyn, i znikł u drzwi, a biskup mrugnął na służbę, i wnet zaprzątnięto kielich, iż go król nawet nie spostrzegł.

„A także [illegible] napisał! a to coś nowego?" zapytał król z zadziwieniem, „rozumiałem, że to zając, co w formie zająca baran, z baran wyborny."

Na co Turkul:

Dziwne rzeczy w zmiany koło:
Miasto tchórza, [illegible] na stole!
Boje się w końcu do biegu
Aby kiedy na stół pana
Miasto sarny, [illegible] barana.
Nie poznał [illegible] — lisa!

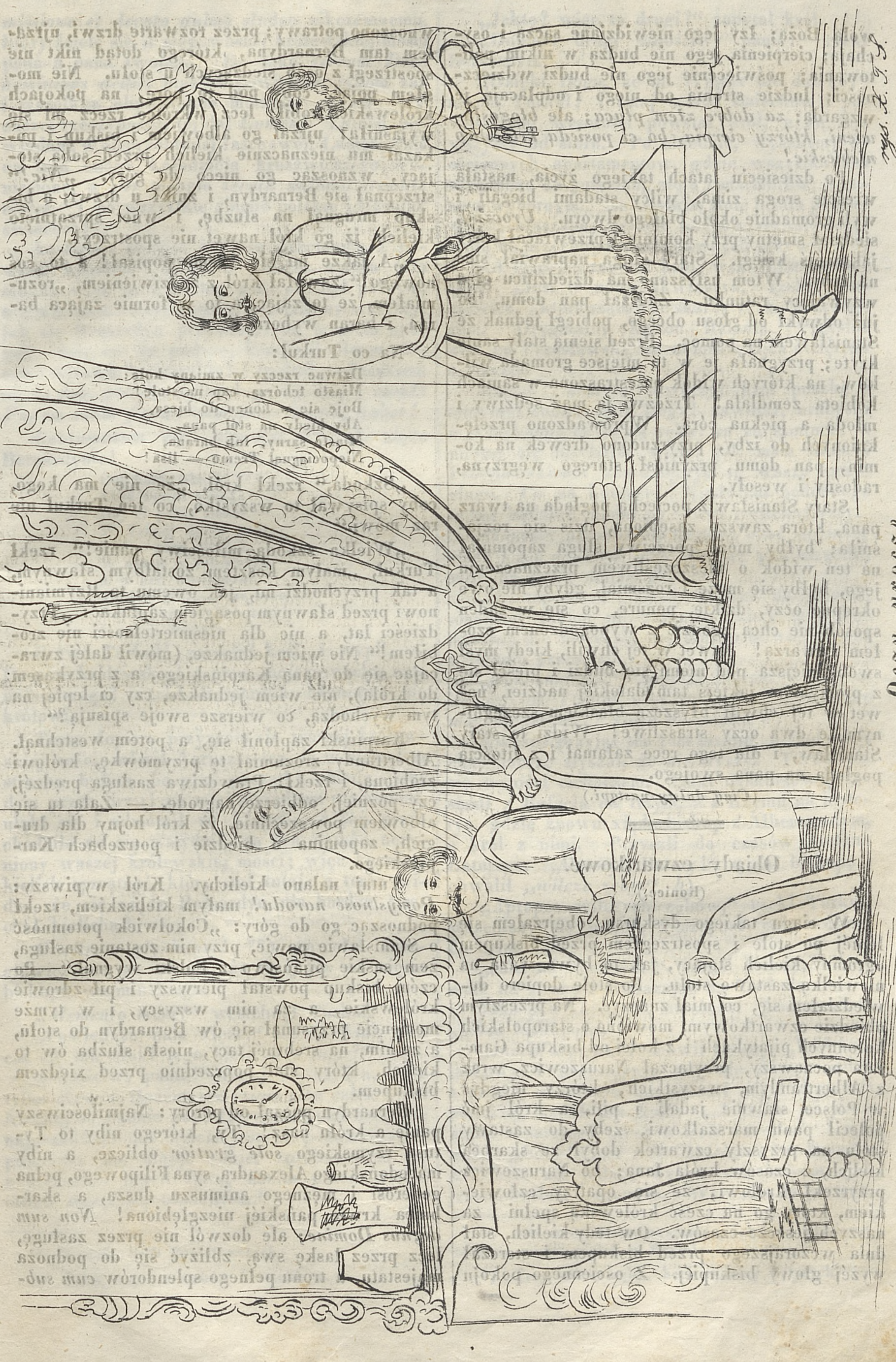
„Szkoda," rzekł król, „że nie ma kogo coby spisywał to wszystko, co ten Turkul nu[illegible]."

„Wielka szkoda mości panie!" rzekł Turkul, „małym kosztem zostałbym sławnym, a tak przychodzi mi, jak owemu Kaźmieninowi przed sławnym [illegible] zaginąć w trzydzieści lat, a nie dla nieśmiertelności nie zrobiłem!" Nie wiem jednakże, (mówił dalej zwracając się do pana Karpińskiego, a z przykąsem do króla), nie wiem jednakże, czy ci lepiej na tem wychodzą, co wiersze swoje spisują?"

Karpiński zapłonił się, a potém westchnął. Albertrandy zrozumiał to przymówkę, królowi zrobioną i rzekł: Prawdziwa zasługa prędzéj, czy później, odbierze nagrodę. — Żala tu się albowiem powszechnie, iż król hojny dla drugich, zapomina o [illegible] i potrzebach Karpińskiego.

[illegible] nalano kielichy. Król wypiwszy: Pomyślność narodu! małym kieliszkiem, rzekł podnosząc go do góry: „Cokolwiek potomność o Stanisławie powie, przy nim zostanie zasługa, [illegible]." Po [illegible] powstał pierwszy i pił zdrowie królewskie, a za nim wszyscy, i w tymże momencie wsunął się ów Bernardyn do stołu, a za nim, na srebrnej tacy, niosła służba ów to kielich, który [illegible] poprzednio przed xiędzem biskupem.

Bernardyn [illegible]: Najmiłościwszy panie a królu [illegible], którego niby to Ty[illegible] sote gratior oblicze, a niby [illegible] Alexandra, syna Filipowego, pełna [illegible] animusu dusza, a skarbnica królewskiej niezgłębiona! Non sum dignus Domine, ale dozwól nie przez zasługę, lecz przez łaskę swą, zbliżyć się do podnoża majestatu tronu pełnego splendorów cum sub-



Oczy urocze.

wolą Bożą; łzy jego niewidziane sączą i osychają; cierpienia jego nie budzą w nikim politowania; poświęcenie jego nie budzi wdzięczności; ludzie stronią od niego i odpłacają je wzgardą; *za dobre złem płacą;* ale *błogosławieni, którzy cierpią, bo ci posiędą królestwo niebieskie!*

Po dziesięciu latach takiego życia, nastała wreście sroga zima, wilcy stadami biegali i wyli gromadnie około białego dworu. *Uroczny,* siedział smętny przy kominie i przewracał karty jakowéjś księgi. Stary sługa naprawiał sieć na ryby. Wtem usłyszano na dziedzińcu głos wzywający ratunku. Zadrżał pan domu, bo już odwykł od głosu obcego, pobiegł jednak ze Stanisławem na pomoc. Przed sienią stały sanie kryte; przygnała je w to miejsce gromada wilków, na których widok przestraszona w saniach kobieta zemdlała! Trzeźwi ją mąż sędziwy i młoda a piękna córa. Wprowadzono przelęknionych do izby, przyrzucono drewek na komin, pan domu przyniósł starego węgrzyna, radośny i wesoły.

Stary Stanisław z pociechą pogląda na twarz pana, która zawsze zasępiona, dziś się rozjaśniła; byłby może poczciwy sługa zapomniał na ten widok o nieszczęśliwém przeznaczeniu jego, byłby się może i rozśmiał, gdyby nie owe okropne oczy, dzikie, ponure, co się w żaden sposób nie chcą zgodzić z wypogodzonêm czołem i twarzą! Nawet w téj chwili, kiedy myśl swobodniejsza pod niemi się budzi i pieści się z promykiem jakiéjś tam dalekiéj nadziei, nawet w téj chwili błyszczą blaskiem szczególnym te dwa oczy straszliwe! Widzi to stary Stanisław, i dla tego ręce załamał i z litością pogląda na pana swojego.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Obiady czwartkowe.

(Koniec.)

W ciągu takiego dyskursu, obejrzałem się lepiéj po stole i spostrzegłem przed biskupem ogromny kielich stojący, jak to bywa waza na niewielką zastawę stołu. Po stole dopiero dowiedziałem się, co miał znaczyć. Na przeszłym obiedzie czwartkowym, mówiono o staropolskich koronnych pijatykach i z kolei od biskupa Gamrata począwszy, przytaczał Naruszewicz, wraz z Albertrandym, wszystkich, którzy niegdyś w Polsce sławnie jadali i pili, a król jmć polecił panu marszałkowi, żeby do zastawy stołu na przyszły czwartek dobył ze skarbca kielich, z czasów króla Jana; bo Naruszewicz przyrzekł królowi, że się opatrzy człowiekiem, który go na cześć królewską spełni i za naszych jeszcze czasów. Ow tedy kielich, stał dnia wczorajszego przed biskupem i sterczał wyżéj głowy biskupiéj. Z ościennego pokoju wnoszono potrawy; przez rozwarte drzwi, ujrzałem tam Bernardyna, którego dotąd nikt nie spostrzegł z osób siedzących u stołu. Nie mogłem pojąć, coby pod tę porę, na pokojach królewskich robił; lecz wkrótce rzecz mi się wyjaśniła: ujrzał go albowiem i biskup i pokazał mu nieznacznie kielich przed sobą stojący, wznosząc go nieco do góry. „*Nie!*“ strzepnął się Bernardyn, i znikł u drzwi; a biskup mrugnął na służbę, i wnet sprzątnięto kielich, iż go król nawet nie spostrzegł.

„A jakże mi się Tremo popisał! a to coś nowego!“ zawołał król z zadziwieniem, „rozumiałem, że to zając, a to w formie zająca baran, i baran wyborny!“

Na co Turkuł:

Dziwne rzeczy w zmiany kole:
Miasto tchórza, cap na stole!
Boję się w końcu do biesa,
Aby kiedy na stół pana,
Miasto sarny, lub barana,
Niepociągnął Tremo — lisa!

„Szkoda,“ rzekł król, „że nie ma kogo, coby spisywał to wszystko, co ten Turkuł nie raz mówi.“

„Wielka szkoda miłościwy panie!“ rzekł Turkuł, „małym kosztem zostałbym sławnym, a tak przychodzi mi, jak owemu to Rzymianinowi przed sławnym posągiem zapłakać: „Trzydzieści lat, a nic dla nieśmiertelności nie zrobiłem!“ Nie wiém jednakże, (mówił daléj zwracając się do pana Karpińskiego, a z przykąsem do króla), nie wiém jednakże, czy ci lepiéj na tym wychodzą, co wiersze swoje spisują?“

Karpiński zapłonił się, a potém westchnął. Albertrandy zrozumiał tę przymówkę, królowi zrobioną, i rzekł: Prawdziwa zasługa prędzéj, czy późniéj, odbierze nagrodę. — Żalą tu się albowiem powszechnie, iż król hojny dla drugich, zapomina o biedzie i potrzebach Karpińskiego.

Tutaj nalano kielichy. Król wypiwszy: *Pomyślność narodu!* małym kieliszkiem, rzekł podnosząc go do góry: „Cokolwiek potomność o Stanisławie powie, przy nim zostanie zasługa, żem saskie pijaństwo z Polski wygnał.“ Po czém biskup powstał pierwszy i pił zdrowie królewskie, a za nim wszyscy, i w tymże momencie przysunął się ów Bernardyn do stołu, a za nim, na srebrnéj tacy, niosła służba ów to kielich, który stał poprzednio przed xiędzem biskupem.

Bernardyn począł od perory: Najmiłościwszy panie a królu nasz! Ty, którego niby to Tytusa rzymskiego *sole gratior* oblicze, a niby macedońskiego Alexandra, syna Filipowego, pełna generosi i mężnego animuszu dusza, a skarbnica krwie pańskiéj niezgłębiona! *Non sum dignus Domine;* ale dozwól nie przez zasługę, lecz przez łaskę swą, zbliżyć się do podnoża majestatu, a tronu pełnego splendorów *cum sub-*

missione et devoto animo słudze nikczemnemu, który ściele się u stóp waszéj królewskiéj mości pana a pana swojego. Bo jako *terram Deus hominibus dedit*, ptakom powietrze, rybom zaś i wszelkim obywatelom morskim *aquam:* tak naszéj rzeczypospolitéj dał *Lumen!* Lumen, powiadam, w nieprzebranéj łasce swéj, Lumen, dziś na tron onego kołodzieja kruszwickiego wyniesione, a *per* mnogie *secula antiquo stemate ciołek* *) po wszystkie ziemie polskie i Ukrainy świecące!

Łaskawie przyjął król tę przemowę i powitał księdza. Z kilku butelek razem lała służba wino do kielicha, póki nie był pełnym, a z wielkiém oczekiwaniem patrzaliśmy wszyscy, jak się Bernardyn przystrajał do wypicia onegoż. Gdy mu go podano, krzyknął silnym głosem: zdrowie królewskie! i spełnił go duszkiem aż do dna, poczém położył go na tacy i rzekł: *Pugna suum finem, cum jacet hostis, habet!*

Consumatum est! zawołał Turkuł, xięże Bernardynie!

Coś habit ulapił,
Abyś żywot trapił:
Daj ci panie Boże,
W każdéj życia porze,
Zrana przy ołtarzu,
W obiad w refektarzu,
A w celi wieczorem,
Ad Dei gloriam majorem:
Dajci Boże kielich taki!
I rożek tabaki!

Brawo Turkuł! zawołał król, i wypił, — Bo prze królewskie! a pana mojego wielce nam miłościwego! rzekł Bernardyn kłaniając się królowi.

Teraz dopiero przyznam się waszéj królewskiéj mości, mówił Naruszewicz, iż w niemałym strachu byłem, bo przy początku obiadu, kiedym przez drzwi na migi z xiędzem rozmawiał, uląkł się i odmówił mi kielicha, i już przychodziło mi się wstydzić, za ten zawód uczyniony waszéj królewskiéj mości; więc kazałem kielich sprzątnąć, który stał tutaj; a teraz widzę, że się xiądz Bernardyn nie bardzo strachał kielicha?

O vitrum gloriosum! **) zawołał Smuglewicz, co za szkoda, że tutaj nie ma xięcia biskupa warmińskiego.

„Memento mori!“ westchnął Turkuł.

„Powiedzże nam xięże,“ mówił król, „za coś się tak uląkł tego kielicha z razu?“

„Miłościwy panie!“ rzekł Bernardyn, „nie tylko słowem Bożém, *sed etiam cibo* człek żyje! Niechaj to będzie Panu Bogu niewymowno, ale najprzód: głodny byłem jeszcze podówczas; a powtóre: nie ufając sobie, spróbowałem się z kielichem przed furtą, zanim przed wielki ołtarz stanąć się ośmieliłem.“

*) Ciołek, herb Poniatowskich.

**) Patrz wojnę mnichów Krasickiego.

„Jakto? więc to drugi?“ zapytał król.

„Dopiero drugi miłościwy panie!“ rzekł Bernardyn.

„Dzięki Bogu, że do Węgier nie daleko!“ mówił Turkuł; i tutaj wśród śmiechów i powszechnéj wesołości powstał król, a za nim wszyscy od stołu. Po obiedzie, wyszliśmy do ościennych apartamentów, gdzie wszystko jest urządzone od porcelan, złota i marmurów, a gustem wybornym. Na wielkim stole leżała puszka długa, blaszana, jakich to powszechnie używają do przechowywania dawnych przywilejów.

„A to co?“ zapytał król, wskazując na puszkę. „Jest to nowa akwizycya,“ rzekł Smuglewicz, „która szacowne skarby W. K. M. wzbogaci. Oryginalny karton Rafaela. Przysłał nam go Przesławski, ze zbiorów Ojca świętego z Rzymu.

Karton? chciwie otworzył król puszkę i rozwinął rulon. Dla Boga! zawołał, arabeski z Watykanu! co to za ręka! co za kontury! a proszę cię niechajże wiem, jak mam tobie i Przesławskiemu zawdzięczyć tę waszę przysługę. Co za kontury! Kiedy coś podobnego u nas będzie? dodał po chwili westchnąwszy.

Wszyscy admirowali karton; choć się inszy może i nie znał na tym, ale, że pan chwalił, więc za panią matką pacierz.

„A zapewne!“ rzekł Turkuł na stronie, „malarzy takich nie zaraz w Polsce mieć będziemy; ale może się coś innego łatwiéj do nas z Rzymu przeniesie.“

„Cóż takiego?“ zapytał Naruszewicz ciekawie. A Turkuł niby na ucho: *„Miserere wielkopiątkowe,“* xięże biskupie! *a)*

Kwaśno przyjął ten żart biskup, a król udał, choć dobrze słyszał, że nie słyszy. Turkuł też się wyniósł cichaczem. Dukt dyskursów przeszedł z Rafaela na Rzym, a z Rzymu na historyą, gdzie znowu xiądz biskup z Albertrandym, a król z nimi. Przyszli do czasów Stefana Batorego. „Batory! Batory!“ wołał biskup, i chwalił *„wilcze zęby.“ b)*

„Apropos wilczych zębów,“ rzekł Turkuł, wszedłszy do pokoju i szepnął coś królowi do ucha.

„Jaki mi konfident!“ mówił biskup, biorąc mnie na stronę i wskazując na Turkuła.

Jako pan każe, tak mu służą. Nadmieniłem xiędzu biskupowi.

„Jużciż zapewne!“ mówił biskup, „król jmć. łaskawy i przystępny; gdy nie dawno jeden z panów senatorów przyganiał téj łaskawości pańskiéj, rzekł mu król: „A jakże mi piszą mości senatorze? *„czy z woli narodu?“* czyli może: *„Sa Majesté très Chrétienne?“* Francya a Polska nie jedno; byłem szlachcicem, jak jestem królem i znam to. Wszystko to prawda,

a) Miserere, sławne oratorium żałobne, odśpiewywane na wielki piątek w Rzymie.

b) Trzy wilcze zęby, herb rodziny Batorych.

ale zawsze król królem, a paź paziem jest, czy w Polsce, czy we Francyi.

Ostatnie słowa posłyszał Turkuł, i rzekł do biskupa, kłaniając się grzecznie: Na rozkazy, paź będzie heroldem! Poskoczył do ościennego pokoju i wyniósł kilka ksiąg w pąsowy axamit oprawnych i zawołał głosem woźnego:

Mości panowie! monety,
Dowcipowi do podniety!
Alias koronne *lumina*,
Co z ojca szły nam na syna
W poczciwości, tudzież w cenie.
— Kłaniam uniżenie! —

i położył xiążki na stole przed królem.

„Tak jest,“ rzekł król do Naruszewicza, monety w nowym cale sposobie, a additamenta do historyi xiędza biskupa; i począł otwierać xięgi i wyjmować z nich złote medaliony wielkości talara, które w tych pugilaresach na axamitném wysłaniu rzędem leżały, podobnie jak się kosztowności i klejnoty przechowywać zwykły. Były to wizerunki królów polskich, dziwnie udatnie zrobione; a na drugiéj stronie stała w krótkości opisana historya każdego króla w języku łacińskim. *a*)

„Miłościwy panie!“ rzekł biskup. „Ty bijesz w złocie twarze przodków twoich, potomność, królu, opisze złotem twe dzieje.“

Nic na to nie odpowiedział król: z rąk szły do rąk medaliony. Turkuł podając razem kilka medalionów biskupowi, wpuścił mu zręcznie jeden za obszewkę fioletową, co téż i jam obok stojący spostrzegł. Wszyscy admirowali robotę mennicy, i pochwalali myśl królewską, tylko król sam się zamyślił i nic nie mówił. Po chwili, gdy włożono na powrót medaliony do pugilaresów, zabrakło jednego. Król spojrzał do koła i rzekł: a to jest *„quid pro quo,“* gdzież jest Władysław Warneńczyk?

„Zginął pod Warną!“ rzekł Turkuł, „jak temu xiądz biskup poświadczy.“

A xiądz biskup pomiarkował, co się święci, i łap po sobie; a dobywszy Warneńczyka z za obszewki, powiada: Modlę ja się i bez złota za dusze dobrych królów naszych, a więc oddaję go z poczciwością. Ale skosem pojrzał na Turkuła, i będzie mu to zapewne pamiętał.

Tutaj weszło dwóch ze służby królewskiéj do pokoju i jeden przyniósł list zapieczętowany na tacy, a drugi trzy śliwy na małéj farfurce, i podał je królowi. Był to znak, że już na czasie żegnać króla.

Ogrodowy królewski zna sekret, przechowywania śliw węgierskich na rok cały z barwą, i zawsze z godziną po obiedzie przynoszą je królowi wraz z listem, na którym adres: *„Au roi!“* a wewnątrz biała ćwiartka papieru, raz na zawsze opieczętowana, jak mi to Turkuł powiadał.

Król zjadłszy śliwy, powiódł oczyma i ręką dokoła i rzekł: *Hic dies mihi vere festus!* a gdy z pokoju wyszedł, zaszły nasze soliterki, *b*) wszyscy rozjechali się do domu, a tylko Turkuł pozostał na służbie przy królu.

W. P.

a) Ten sam zbiór kosztowny medalionów historycznych nabył Tadeusz Czacki po śmierci króla i darował go naukowemu zakładowi w Krzemieńcu, którego był twórcą; ztamtąd został wzięty i znajdował się już w roku 1830 w bibliotece uniwersytetu wileńskiego. — W zbiorze medalów polskich, który za pomierną cenę, w pięknych odlewach gipsowych, można nabyć o każdym czasie w Wiedniu, znajdują się także odciski i tych medalów historycznych, które kazał bić w złocie król Stanisław August.

b) Soliterkami nazywano podówczas karetki na jedną osobę, jakich używano.

Przestroga.

Nie tryumfuj dziewczę z młodu,
Że masz serce z lodu;
Nie przyganiaj wiosny słońcu,
Aż przy maja końcu.

Zrana róża na gałęzi
W pączku serce więzi;
A w południe przecie snadnie
I motyl w nie wpadnie.

Wtedy pszczoła kwiat całuje,
Kiedy słodycz czuje;
I twe wdzięki, o! dziewczyno!
Z lada rankiem miną.

I na ciebie, bluszczu młody!
Przyjdą niepogody;
Patrz więc wsparcia koło siebie,
Chceszli zbawić ciebie.

Dwie są drogi do zbawienia,
Na tych szukaj cienia;
Miłości powabne pęta,
Albo przyjaźń święta.

Szczéra przyjaźń, moje dziecie!
Rzadką jest na świecie;
Miłość dzieckiem jest piękności,
Więc szukaj miłości.

Ty się śmiejesz, twoje usta
Wdzięczy radość pusta;
Byłożby to z méj, o! bogi!
Niewczesnéj przestrogi?

Swawolnico! nie daruję,
Skarzę, wycałuję;
Jam wierzył w twój głos uroczy,
Niepatrząc w twe oczy.

J. N. J.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (*Red. Ciechański.*)